

Marianne White

## Stan zamrożenia

Przychodzą po mnie tuż po świętach. Walenie do drzwi, jakby mieszkanie trzeba było wybudzić z letargu. Szklanki brzęczą w metalowych uchwytach. Herbaciane fusy wirują złowrogo.

Matka podaje mi kożuch. Ciężki, o słodko-dymnym zapachu papierosów i perfum.

\*\*\*

W ciężarówce jest duszno. Siedzimy stłoczone tak blisko, że w powietrzu splata się zapach naszych włosów, oddechów i spalin. Każdy zakręt, każdy wstrząs przesuwają kolana i ramiona ku sobie, aż trudno odróżnić, które ciało drży, a które odbija cudze drżenie.

Kožuch przytłacza, lecz to nie on sprawia, że brakuje mi tchu. W głębi ciała noszę inny ciężar. W dusznym wnętrzu unoszą się spaliny i boję się, że powietrza nie starczy dla nas dwojga.

Pojazd zatrzymuje się, a w ciszy rozlega się skrzypienie drzwi. Rozkaz przecina powietrze: wysiadać. Śnieg oślepia, karabiny błyszczą w słońcu. Kolana uginają się pod mną. Ktoś szepcze: rozwalą nas.

Ustawiają nas w rzędzie. Opróżnić pęcherze. Wszystkie naraz, skulone, ze spódnicami podciągniętymi, ze spodniami zsuniętymi do kostek. Para unosi się z ziemi jak spaliny.

Ciężarówka warczy i podskakuje, a my kołyszymy się razem z nią, raz w jedną, raz w drugą stronę. Czasem przysypiam, opierając głowę o ramię sąsiadki. Inne, bardziej powściągliwe, próbują spać wyprostowane, usta otwierają się bezwiednie i wysychając, budzą nagłym pragnieniem.

\*\*\*

Drzwi otwierają się po raz drugi. Wnętrze zalewa oślepiający blask. Wpada powietrze — świeże, zimne, ostre jak szkło.

Na zewnątrz śnieg połyka kształty, połyka drogę. Las wyrasta z bieli czarnymi liniami, drzewa stoją nieruchome jak strażnicy. Droga niewidoczna pod stopami, bez żadnych śladów, poza tymi, które zostawiamy za sobą.

Kožuch ciąży na ramionach jak mokra kołdra. Pod nim gorąco faluje, podszywka pali skórę. Każdy wdech wbija w płuca igły zimnego powietrza. Czuję, że jest mi jednocześnie za gorąco i za zimno, że ciało się myli, nie wie, po której stronie stanąć.

Moje kroki mięknią. Śnieg pod stopami ustępuje, topnieje od gorąca i zmienia w grząską breję.

\*\*\*

Budynek wyrasta przed nami nagle, biały, prostokątny, ogrodzony drucianą siatką. Stoi samotny pośrodku lasu jak bryła lodu.

Pokój – cztery tapczany ustawione pod ścianami, przykryte szorstkimi kocami w kratę. Wchodzimy spocone, z przemokniętymi butami, w ubraniach, które parują od nagłego ciepła. Rozbieramy się powoli, ciężkie warstwy spadają na podłogę, przesiąknięte wilgocią.

W nocy czuję, że coś pali mnie od środka. Ciepło pokoju dusi, ściany napierają, powietrza brakuje. Kaszel wyrывa się nagle, suchy, szorstki, ciało próbuje pozbyć się żaru, który je dławi.

Budzi mnie stukot, jakby ktoś wybijał wiadomość na szkle.

Przez okno, całe w bajkowych wzorach ze szronu, wpada ostry blask. Kolorowe ptaki, zwabione ciepłem albo własnym odbiciem, uderzają w szybę jeden po drugim. Na chwilę zostaje po nich odcisk na szkle. Ich ciała opadają w śnieg i tam nieruchomieją.

Ktoś wsuwa mi do ręki dwie kruche tabletki. Na gorączkę. Trzymam je chwilę w otwartej dłoni, próbując rozpoznać, czy to lekarstwo czy trucizna. Zaciskam palce i chowam do kieszeni. Nie mogę ryzykować. Nie teraz.

\*\*\*

W stołówce stoły przykryte ceratą w niebiesko-białą kratę. Po sali roznosi się zapach przypalonego mleka. Na każdym stole waza z grubego fajansu, z doklejonymi uszami po bokach. Nadrukowany pasek obiega krawędź jak wytarta, niebieskawa tasiemka.

Podnoszę ciężką pokrywę.

W środku rozgotowany ryż bieleje jak larwy. Unoszą się tuż pod powierzchnią mleka, na której tworzy się lepki kożuch.

Gorąco podchodzi mi do gardła. Zakrywam usta, żeby powstrzymać napływ mdłości, i wybiegam z sali.

Z okienka nad ladą wychyla się kucharka. Jej powieki lśnią zielenią, błyszczą jak żuk w słońcu. Zawsze nas obserwuje.

\*\*\*

Czas płynie tu inaczej — rozwleczony, bez kresu. Codziennosc miesza w sobie strach i nudę. Książki dawno przeczytane krążą z rąk do rąk, ich strony znają już wszystkie palce.

Mimo że strażnikom nie wolno z nami rozmawiać, dziewczyny zagadują ich i rzucają im przez okno czerwone jabłka. Owoce toną w śniegu od razu, głęboko. Chłopcy podnoszą je, dziękują, chowają do kieszeni mundurów. Tych chłopców więcej nie zobaczymy.

W świetlicy jarzy się telewizor, powtarza obrazy powodzi, zerwane mosty, katastrofy z innego świata. Woda wzbiera się, domagając ofiar. Czeka na tych, którzy stąpają po cienkim lodzie, na tych, którzy odważą się postawić jeden krok za daleko, powiedziec o jedno słowo za dużo.

A tutaj wszystko trwa jak zaklęte w lodzie, jakby wiosna miała nigdy nie nadejść.

W tej bryle lodu tkwimy razem. Jak wtedy, gdy po raz pierwszy zetknęły się nasze kolana i ramiona. Gdy nie znałyśmy jeszcze swoich imion, a czułyśmy swoje oddechy. Nadal oddychamy w tym samym rytmie. W oczekiwaniu.

\*\*\*

Powietrze w stołówce jest gęste od zapachu mięsa i kapusty.

Mielone z ziemniakami, miękkie i wodniste, rozpadają się przy pierwszym dotknięciu. Rzadki, brązowawy sos rozlewa się po talerzu.

Jak wtedy, na koloniach. Wybiegamy ze stołówki prosto w słońce, biegniemy nad wodę. Rzeka wyrzuciła na brzeg worek po ziemniakach, a w nim utopione szczeniaki.

Bierzemy je ostrożnie w dłonie. Czarne ciała ociekają wodą, są ciężkie jak kamienie. Kopyemy grób w błocie nad brzegiem i układamy je jedno przy drugim. Woda wpełza do dołu, oplata ubłocone łapki, główki, ogonki. Zabiera to, co od początku należało tylko do niej.

\*\*\*

Czas sunie powoli jak rzeka pod lodem.

Leżę w ciemności wsłuchana w stukot grzejników. I w tej ciszy czuję, że coś we mnie trwa i zawsze będzie trwać.

Przyjdzie dzień, gdy wyjdę w roztapiający się śnieg. Las będzie nieruchomy, ścieżka grząska.

Pójdę przez ten las krokiem tak lekkim, jakby należał do kogoś innego.

Miną lata.

Zimy złagodnieją.

W moim domu będzie się parzyć herbata w okrągłych torebkach.

Szklanki nie zadrżą od walenia do drzwi.

Nie podam córce kozucha w pośpiechu.